

NIE MAM NIEPRZESPANYCH NOCY

JANUSZ GAJOS, AKTOR:

W moim zawodzie forma
jest rzeczą godną wszelkich zabiegów.
Mam znaleźć odpowiednią i skojarzyć ją z treścią.
Ale nie zawsze się udaje.

KALINA BŁĄŻEJOWSKA: Jakie są Pana
plany na urodziny?

JANUSZ GAJOS: Plany? Na urodziny?

Impreza, benefis?

A tak, jakaś impreza się musi odbyć. Ja nie jestem zwolennikiem takich przedsięwzięć, wolę świętować z bliskimi, ale okrągła rocznica każe zaprosić paru przyjaciół.

Wszyscy, którym mówiłam, z jakiej okazji ten wywiad, reagowali tak samo: „Gajos ma osiemdziesiąt lat?!”. Nie wygląda Pan.

Niedawno miałem duże spotkanie w Kazimierzu Dolnym na festiwalu Dwa Brzegi i tam Grażyna Torbicka zrobiła sondę na temat mojego wieku. Wszyscy dawali mi o wiele mniej. Należy się cieszyć, bo to chyba wynik postawy życiowej. Myślę, że zawód też troszeczkę pomaga. Jak się dostaje w kość, fizycznie i psychicznie, to wewnątrz i zewnątrz musi się do tego ustosunkować.

Wydawało mi się, że jak ludzie dostają w kość, to się szybciej starzeją.

Tak? To przepraszam, zrobiłem jakiś błąd. Mam na myśli rodzaj treningu: prawdopodobnie ludzie, którzy muszą pokonywać duże trudności, uodparniają się na upływ czasu.

A na ile lat się Pan czuje?

Oj, proszę pani, trudno powiedzieć. Chodzę prosto, bez żadnego przyrządu, który by mi to ułatwiał. Nie będę przesadzał, że uprawiam sport, ale od czasu do czasu jeżdżę na rowerze, spaceruję. O starości raczej myślę, niż ją fizycznie odczuwam. Wszystko jest usadowione gdzieś z tyłu czaszki.

Choć spostrzegłem ostatnio, że pojawił się we mnie rodzaj leniwości... Na przykład myślę, że powinienem pójść i zrobić cztery kilometry wkoło domu, a potem mówię sobie: „E, może jutro”. To chyba właśnie symptom wieku. Że się przestaje chcieć.

Polecam opaskę do liczenia kroków. Bardzo motywuje.

Liczę, mam krokomierz w telefonie.

I ile Pan robi dziennie? Ja osiem tysięcy, czyli sześć kilometrów.

Ja o wiele więcej, jak przystało na starszą od pani osobę.

Czy człowiekowi, dla którego ciało jest narzędziem pracy, trudniej się starzeć? Aktorkom kończą się role, a aktorom?

Ról pewnie ubywa, ale pozostają te największe, do tej pory przeze mnie nie-
tknięte. Mam na myśli wielkie Szekspiry, tych bohaterów w podeszłym wieku, którzy mówią nam, jak to z tym życiem jest. Nie obsypywano mnie tego typu propozycjami. Bo też moje losy zawodowe toczyły się bardzo dziwnie. Długo nie tak, jak bym chciał, tylko tak, jak by chcieli inni.

Który Szekspir się Panu marzy?





DONAT BRYCZYŃSKI / BEW

Janusz Gajos, 2017 r.

Nigdy nie grałem króla Leara. Choć gdyby mi pani teraz powiedziała, że jutro zaczynam próby, to bym się musiał zastanowić.

Ale nad emeryturą się Pan nie zastanawia.

Wiem, że coś takiego jest. I chyba należą się za to jakieś pieniądze, prawda? Natomiast myśl o zakończeniu pracy jeszcze mi nie doskwiera.

A nauczył się Pan już odpoczywać? Kilka lat temu twierdził Pan, że nie potrafi.

To się chyba nie zmieniło. Mój zawód wymaga ciągłej aktywności fizycznej, psychicznej i umysłowej, więc gdy dostaję wiadomość: „Masz miesiąc wolnego”, to nie wiem, co z tym czasem robić.

Był Pan w tym roku na urlopie?

Byłem. Grecja, Hel – to takie stałe punkty, od bardzo dawna wpisane w kalendarz. Ale nawet nad morzem, czytając

dla przyjemności, mam w mózgu otwartą zakładkę z pytaniem: „A jak byś to zrobił? Czy on będzie stał z prawej czy z lewej strony?”.

Opowie mi Pan ten wieczór, kiedy nie przyszedł Pan do pracy? Co to była za sztuka?

Tytułów już nie pamiętam, chyba dwa razy mi się tak zdarzyło, bardzo dawno temu. Prosta sprawa: pomyliłem kartki w kalendarzu, skorzystałem z wolnego wieczoru, a potem usłyszałem: „Nie było cię, chcieliśmy grać, ale publiczność wyszła”.

Zapewniam panią, że nie chciałbym tego przeżyć ponownie. Okropne, ohydne! Wyobrażałem sobie, jak ktoś staje na scenie i mówi: „Bardzo państwa przepraszamy, ale...”. A potem jak ludzie odbierają tę wiadomość, jak wychodzą z teatru, co sobie mówią, o mnie na przykład... Obrzydliwe samopoczucie – nie wiem, czy w innych zawodach ludzie też takie miewają.

Dręczą Pana jeszcze koszmary o spóźnianiu się na scenę? Już teraz nie.

Kiedy przeszedł?

Nie wiem, jakoś się samo uspokoiło.

A co się Panu ostatnio śni?

Kiedys mi się śniło obficie i kolorowo. Pamiętałem i opowiadałem sny. A teraz budzę się i mam w głowie tylko ślady akcji, postaci. Nie mogę ich do niczego przykleić, nie ma tam żadnego porządku. Może to kolejny symptom starzenia.

Już nie mówiąc o snach, które przynosiły nadzieję na wspaniałą przyszłość... Są takie sny, że człowiek lata w powietrzu. I ja tak latałem. Zna to pani?

Raz mi się przyśniło, zazwyczaj skądś spadam albo się topię.

Wracają do Pana obrazy z młodości?

Będę teraz mówić zupełnie szczerze, patrząc sobie prosto w okulary: nie rozpałmiuję młodości. Jeżeli zdarza mi się coś →

⇒ podobnego, to raczej jest to uczucie ulgi, że tamto już minęło. Człowiek się przeobraża, powstaje nowa forma. Czasem mi się wydaje, że to, co robiłem w przeszłości...

...robił ktoś inny?

Tak. Mam ochotę powiedzieć: jak dobrze, że poszedłem parę kroków naprzód. Nie chcę tu popadać w manierę, że młodzi to nic nie wiedzą, a ja jestem stary i wszystko wiem. Nie chodzi mi o samozadowolenie, tylko głębokie psychiczne przeświadczenie.

Nie lubił Pan siebie młodego?

Teraz nie lubię. Nie jestem swoim dawnym ja zachwycony. Oczywiście szkoda mi tamtej kondycji... Na przykład łapię się na tym, że przed chwilą parę rzeczy chciałem pani powiedzieć, tylko nie pamiętam jakich.

Też tak mam.

Tak? O jaka pani miła, dziękuję! Więc gdyby nie fakt, że organizm się psuje, to bym był zadowolony, że dojrzałem i więcej rozumiem. Dzisiaj jest mi ze wszystkich stron lepiej. Wyłączając takie, które są bolesne. Na przykład nogi. Kiedyś się wstawiało na raz, teraz trzeba wstawać na trzy. Nie ma nic za darmo.

Ma Pan teorię, że „zmienia skórę średnio co dziesięć lat”.

Ja tak powiedziałem?

W wywiadzie dla „Playboya” z 2009 roku.

Widzi pani, to przemądrzały strasznie byłem. Teraz mnie to śmieszy, przepraszam za to panią. I siebie.

Czyli dziesięć lat minęło i się Pan zmienił, wszystko się zgadza. Niby tak, ale trochę się wstydzę.

Cofnijmy się do pierwszej dekady. Urodził się Pan we wrześniu 1939 roku, ale Pana najwcześniejsze wspomnienie nie dotyczy wojny. Tylko żuka, który chodził po wózku i bardzo Pana przeraził.

Skąd pani to wszystko wie? To nie był wózek, tylko becik. Nawet mam zdjęcie takiego obwiązanego po brodę małego człowieka – mój pierwszy wizerunek.

A drugie wspomnienie?

To już traumatyczna historia: pod górę jechał wóz z węglem, była zima i koń nie mógł sobie dać rady. Ślizgał się, w końcu upadł. Woźnica strasznie okładał go batem, a koń nie mógł wstać i wydawał z siebie żalosne jęki. Miałem trzy lata i płakałem, darłem się wniebogłosy. To się stało na pewno, tkwi we mnie. Ale jak się okazuje, wielu ludzi zapamiętało z dzieciństwa podobny obraz. Czyli to dość banalne.

Raczej fascynujące, bo prosto z Dostojewskiego. O umęczonym koniu mówi Iwan Karamazow, śni Raskolnikow. Jest też teoria, że Nietzsche oszalał po zobaczeniu takiej sceny. O, jestem w dobrym towarzystwie!

Wspomnienia stricte wojenne?

Nie obfitują w koszmary. Wiem tylko, bo mówiło się o tym w domu, że zginął brat mojej mamy. Ktoś odczytał jego nazwisko na liście rozstrzelanych. Pamiętam też, że przed tak zwanym wyzwoleniem schowaliśmy się w kotłowni i bawiłem się maską gazową. Była tam pani, która mi się bardzo podobała, oparłem się na jej udach. Wszyscy wybuchnęli wtedy śmiechem: „O, patrzcie, kawaler nam rośnie”.

Z Dąbrowy Górniczej przeprowadziliście się do Zabrza. Zajęliście poniemieckie mieszkanie?

Jak większość napływowych. Ojciec był ogrodnikiem, wydzierzał spory kawałek ziemi pod uprawę kwiatów. Rodzicom się tam dobrze powodziło, ja zacząłem szkołę. Okres nie tyle sielanki, co takiego sobie życza bez specjalnych kłopotów. Bo potem kłopoty były duże.

To znaczy?

Wróciliśmy do Zagłębia, ojciec wydzierzał czy kupił ziemię w Będzinie i miał zamiar zrobić z niej coś, co by nam zapewniło dostatek. Ale różne rzeczy zaczęły się sypać. Najpierw spadł grad, kulki jak pół pięści. A w ogrodnictwie im bardziej coś oszklone, tym większy daje dochód. I to wszystko poszło w drzazgi. Mam taki obrazek, który chciałbym wymazać: rodzice patrzą na potłuczone szkło i ojciec mówi: „To teraz jesteśmy dziadami”. A mama cicho płacze. Już się nie mogliśmy z tego wygrzebać. Zaraz po maturze wyszedłem z domu, zacząłem pracę w będzińskim Teatrze Lalek.

Dorastał Pan w czasach stalinowskich. Miał Pan wrażenie, że rzeczywistość skrzeczy?

W domu coś się szeptało. Dorośli mówili: „Idź się pobaw, bo my tutaj rozmawiamy”, i wtedy wiedziałem, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Ale też – nie chcę, żeby to zabrzmiało jak usprawiedliwienie – myślałem, że świat taki po prostu jest, że nic się tu nie poradzi. Bardzo długo towarzyszyło mi to przekonanie.

Pamięta Pan ze szkoły jakieś akademie ku czci, propagandowe hasła?

Każdy dzień zaczynał się apelem. Stawiała się cała szkoła, śpiewało się „Międzynarodówkę” czy coś podobnego, a potem wszyscy rozchodzili się na lekcje. Innej szkoły nie znałem, bo byłem za młody.

Był Pan w ZMP?

Byłem, wszyscy byli. Wydawało mi się, że tak trzeba i koniec. Pamiętam, że poszliśmy gromadą, dwie klasy ósme, do budynku, gdzie odbyła się taka śmieszna rozmowa. „Jakie masz stopnie?”. „Piątkę z fizyki.” „To bardzo dobrze, chyba przyjmujemy kolegę”.

Kolega postanowił pójść na architekturę, żeby budować lepszą Polskę.

I rozpaczliwie próbowałem się nauczyć rysunku. Zacząłem od łączenia dwóch punktów, żeby bez linijki trafić prosto od jednego do drugiego. Wydawało mi się, że jest to technika, którą muszę osiąść.

Koniec końców nawet Pan na tę architekturę nie startował.

Bo doznałem zawrotu głowy.

Gdy zagrał Pan w „Panu Tadeuszu”.

Że zagrałem, to małe piwo. Nie chodzi o rolę, chodzi o to, co się ze mną stało. Powąchałem teatr, poczułem zapach wnętrza. Zapach kurzu, który się unosił w szczelinach źle zamkniętych okien.

Czyli to nie było na szkolnej auli?

To było przygotowane przez szkołę, ale grane w Teatrze Lalek. Pamiętam rodzaj zdziwienia, że mówię tego Mickiewicza, a ludzie siedzą i słuchają. Zanurzyłem się w jakiejś wspaniałej, nieznanej mi rzeczywistości.

Nie miał Pan w rodzinie żadnych aktorów.

Myśmy nawet nie chodzili z rodzicami do teatru. Pierwszy raz byłem ze szkołą, na wycieczce do Katowic. Zobaczyłem dziwny, ciekawy świat, ale oglądałem go z oddalenia, na chłodno. Dopiero gdy znalazłem się na scenie, zaczęło się ze mną dziać coś niezwykłego, czego nie rozumiałem. I nie rozumiem do tej pory.

A rozumie Pan te trzy porażki na egzaminach do szkoły aktorskiej? Do czegoś się Panu przydały czy były tylko głupią pomyłką losu?

Nie umiem rozstrzygnąć. To tym bardziej dziwne, że przed egzaminami byłem u dwóch osób, żeby sprawdziły, czy się nadaję, i obie kiwały głową na tak. Choć oczywiście wytknęły mi masę błędów. W Katowicach rozmawiałem z takim człowiekiem od teatru rapsodycznego. Zapytał: „Co mi pan proponuje?”. A ja – świadczyło to o stopniu mojej bezczelności – że „Wielką Improwizację”. Wytrzymał kilka minut i dał mi pierwszą lekcję. Zapytał, czy wiem, co robiłem z rękami i nogami.

Co Pan robił?

On mówi: „Wyginał pan stopy, stawał na palcach, na piętach, rękami coś pan próbował wykonać, ale strasznie niezgrabnie”. A potem pokazał na skroń: „Od tych rejonów w górę było nieźle. Dało się zrozumieć, o co panu chodzi. Natomiast reszta ciała się buntowała, nie wiedząc, czego pan chce”. Wtedy pojawiła się we mnie intuicja, a później zrozumiałem, że w tym zawodzie forma jest rzeczą godną wszelkich zabiegów. Mam znaleźć odpowiednią formę i skojarzyć ją z treścią. Ale nie zawsze się udaje.

A co to znaczy, że aktor nie powinien udawać? Kiedyś mówił Pan, że tak się stara.

Nieszczęśliwe określenie, wycofuję się. W tej chwili, gdy jestem już bardzo świadomy mojego zawodu, nie mógłbym tak powiedzieć. To w normalnym życiu ciągle się coś udaje i kłamie, a ja jako aktor jestem czysty. Bo tworzę coś nowego, jak obraz, jak rzeźbę. Wykonuję swoją pracę, najrzetelniej, jak potrafię.

Wie pani, długo rośłem w strasznym niepokoju: czy to, co robię, jest w porządku. Aż się dowiedziałem od księdza Tischnera, że dobrze robię. Przeczytałem u niego, że aktor nie ma być prawdziwy, tylko prawdziwie tworzyć. Wtedy mi ulżyło.



„Msza za miasto Arras”, Teatr Narodowy w Warszawie, 2015 r.

To najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłem.

Wcześniej trafił Pan do wojska, a z wojska na Ogólnopolski Konkurs Recytatorski.

Nie chcieli mnie w Łodzi, w Krakowie, no to wojsko przyszło z pomocą. Dwa lata w Żarach trzeba było odpękać, jak to się wtedy mówiło, i zastanowić się, co dalej. A miałem w książeczce wojskowej wpisane „zawód: aktor”. I wezwał mnie kapitan od kultury: „W śróde będzie konkurs recytatorski, wy tam pójdziecie nas reprezentować”. A już było ustalone, znaczy sam ze sobą ustaliłem, że z tym kończę. Kapitan nie przyjął do wiadomości ani formy, ani treści mojej odmowy, po żołniersku powiedział, co mam zrobić. I poszedłem, bo w armii się nie dyskutuje. Powiedziałem „Kwiaty polskie” i wszyscy się zachwycili. Że żołnierz, a tak wspólnie mówi poezję.

Wygrał Pan wszystkie etapy.

Więc odświeżyła mi się stara choroba i po drugim roku służby raz jeszcze pojechałem do Łodzi. A tam ci sami ludzie, którzy oglądali mnie na poprzednich egzaminach, powiedzieli: „No, nareszcie, urósł, zmężniał, przyjmujemy”. Dziwne, co?

Mundur, krzepa, kondycja...

Nie, to nie to. Krzepa i mundur mogą komuś imponować, ale nie w tym zawodzie. Choć oczywiście aktor musi wyglądać

dać. A ponieważ przez dwa lata wstawałem o szóstej i biegałem dwa i pół kilometra, to moja cielesność nabrała kształtu i mocy. Może wcześniej im się nie podobalem, bo byłem taki sobie, ani brzydki, ani ładny. I nawet nie wiedzieli, jakie skarby się kryją w środku (śmiech).

Dużo ma Pan anegdot z wojska?

Dużo, nie uwierzyłaby pani.

Pytam, bo mężczyźni lubią je opowiadać, ale pod tym śmiechem jest przecież trauma.

Nie ma. Trauma polegała na tym, że przepadł mój plan na życie. Natomiast z wojska nie robiłem tragedii, trzeba się było jakoś znaleźć. Zresztą myślałem, że będzie gorzej. Że to coś jak więzienie.

A nie?

Może kuchnia jest podobna. Nie zapomniałem pierwszego posiłku: cała kompania przy długich stołach, każdy dostawał bułki, ziemniaki, mięso, pac! taką ciapę na talerz. Pomyślałem: „Przecież ja tego nie tknę, ja tu umrę z głodu”. Ale po paru dniach się przyzwyczaiłem.

Były fajne momenty. Jakbym pani opowiedział o jeleniu...

Słucham.

Tam grasował taki byczek, znaczy nie grasował, tylko został jako małolat przyniesiony przez żołnierzy. Mama, czyli lania, zostawiła go w lesie i wylądował w zespole jednostek wojskowych. ➔

⇒ **Ktoś za niego odpowiadał? Jakiś żołnierz wyznaczony do opieki?**

Nie, ten jeleń był wolnym człowiekiem. Chodził sobie, gdzie chciał, ale miał stałe punkty, na przykład asystował przy porannym apelu. Wydawało mu się widocznie, że to jego obowiązek. Byłem świadkiem, jak wziął nowego dowódcę na rogi. To jest rzecz nie tylko do opisanie, to scena filmowa.

Czegoś Pana wojsko nauczyło?

Pewnie dyscypliny.

I przydało się przy „Czterech pancernych”?

Niewiele. Koledzy z planu dawali radę bez wojska.

Ale to Pan stał się największą gwiazdą. Woda sodowa uderzyła do głowy?

Muszę pani powiedzieć bezczelnie, że nie. Raczej mnie to denerwowało. Pewnie dlatego, że zupełnie inaczej sobie tę sławę wyobrażałem. Były już wtedy w Polsce kolorowe pisma, czytałem o życiu gwiazd, a moje zupełnie tego nie przypominało.

Co dokładnie Pan sobie wyobrażał?

Przede wszystkim trochę więcej szacunku. A tu jakiś chłopak na ulicy krzyczy za mną: „Ej, ty, Janek!”. Nikt mnie nie traktował z estymą.

Ale dostawał Pan tony listów. Dużo było ofert matrymonialnych?

Nie, a w każdym razie żadnych nie pamiętam. To przeważnie dzieci pisały, pewnie z pomocą rodziców. Co najważniejsze, szybko zdałem sobie sprawę, że ten Janek będzie mi kulą u nogi. Zastanawiałem się, jak z tego wybrnąć.

Twierdził Pan, że spotkał Pana środowiskowy ostracyzm za udział w propagandzie. Ale przecież wielu aktorów było zaangażowanych w reżim.

W tym serialu wystąpiła gromada najlepszych aktorów, z wyjątkiem Łomnickiego i Holoubka. Więc ten późniejszy brak ofert nie był za karę. Raczej chodziło o rodzaj aktorstwa, pewnie bardzo ubogi w środki, niedoskonały. Zdobyłem dzięki niemu specyficzny rodzaj popularności z posmaczkami lekceważenia. Zwłaszcza wśród ludzi, którzy też uprawiali ten za-

wód i wiedzieli, że są o wiele lepsi. Może nawet mi współczuli.

Myślał Pan wtedy, żeby odejść?

W najczarniejszych momentach. Ale nie miałem odwagi. Starłem się rozumować logicznie i dochodziłem do wniosku, że nie dam rady zmienić zawodu, nie pójdę już na kolejne studia.

Poza tym byłem zdeterminowany, żeby udowodnić sobie i innym, że ja tę przeszkodę przeskoczę. I powoli, powoli coś ruszyło. Nie było już tego czołgu i tego psa, zacząłem dostawać propozycje z teatru telewizji, zagrałem główną rolę u Filipa Bajona w „Wahadełku”.

Schizofrenika uwięzionego z siostrą i matką w ciasnym domu.

Miałem wrażenie, że ludzie oglądają mnie na ekranie i mówią: „Jak to? Przecież... Ale że on?” (*parodiuje zdziwione miny*). Śmieszyło mnie to, a jednocześnie okropnie denerwowało.

Pan się zmienił fizycznie, pewnie pomogło. Przestał Pan być miłym chłopcem, stał się Tureckim.

Przecież celowo poszedłem grać w kabarecie Olgi Lipińskiej tego faceta w bereciku: wykalkulowałem, że to będzie forma ucieczki. A Turecki zyskał taką popularność, że znowu nie mogłem się od niego uwolnić. Aż zagrałem u Wojciecha Marczewskiego w „Ucieczce z kina Wolność”.

KOTOWSKI LEON / BEW



W filmie „Żółty szalik” Janusza Morgensterna, 2000 r.

Premiera 1990, już był Pan po pięćdziesiątce.

I znowu tak zwane Grono, Które Wie Wszystko, zrobiło wielkie oczy. Aż w końcu przestali się głośno dziwić i zaczęli dawać nagrody.

Teraz mówią o Panu „największy polski aktor”. Jest jakaś sceniczna umiejętność, której Pan nie opanował?

Mogę mieć do siebie pretensję, że nie dość opanowałem swoje ciało. Bo dobry aktor jest panem swojego wnętrza i zewnątrz.

Płakać na zawołanie dalej Pan nie umie?

Nie. Ale czuję się usprawiedliwiony: mam teorię, że to tylko kobiety potrafią. Graliśmy z Anią Dymną w „Opowieściach Hollywoodu” i Kutz mówi: „Ania, płacz”. Ona w taki szloch, że aż trzeba ją było wycierać. A ja za nic w świecie. Nie dam rady. A w ogóle uważam, że płakać ma widownia, nie aktor.

W domu się Panu zdarza?

Szlochać? Nie. No, może się czasem wzruszam.

To nic dziwnego, że na scenie Panu nie wychodzi.

No tak, można powiedzieć, że konieczne do użycia miękkie elementy u mnie są dość twarde. Ale przecież radzę sobie.



BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS // JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

W „Kotce na gorącym, blaszanym dachu” w reż. Grzegorza Chrapkiewicza, 2013 r., i w „Garderobianym” w reż. Adama Sajnuka, 2016 r.

Proszę powiedzieć, jak to się robi.

Dmucha się w oczy czymś, co wywołuje szczypanie i łzawienie. Nie trzeba rozpaczać godzinami, żeby odpowiednio znaleźć się w kadrze. Oczywiście mówię o filmie.

A najciekawsza rzecz, której się Pan musiał nauczyć do roli? W wywiadzie przy okazji „Czterech pancernych” mówił Pan o wspinaczce...

Niemożliwe, to ktoś wymyślił, nie mogłem tak powiedzieć.

Konkretnie użył Pan terminu „alpinistyka”.

Gdzie to jest? Ja to chcę zobaczyć.

Na YouTube. Fragment wywiadu Ireny Dziedzic.

Ach, to słynne „Tele-echo”... No to niech mi Bóg wybaczy i wszyscy święci. Widocznie wiedziałem, że jeżeli idę do telewizji, to muszę coś zagrać. Ale żeby takie głupstwa... Nie podejrzewałem siebie, przepraszam.

Uroczy Pan był w tym programie.

Uroczy? Pani mówi serio? Proszę wybaczyć młodemu człowiekowi...

Ostatnio się Pan nauczył po kaszubsku, do „Kamerdynera”.

Nie nauczyłem, tylko zasugerowałem Filipowi Bajonowi, że jak mam zagrać Króla Kaszubów, to przecież nie mogę

mówić czystą polszczyzną. Dostałem konsultanta, razem tłumaczyliśmy dialogi, potem pomagał mi to wypowiadać.

Nadrobiłam ten film wczoraj. Trochę mi zajęło, żeby Pana rozpoznać na ekranie.

Brawo ja! W końcu o to chodzi w tym zawodzie, żeby pod żadnym pozorem siebie nie przypominać.

Co do języków: nie marzył Pan o karierze na Zachodzie? Proszę się przyznać.

Znowu pani popatrz na mnie w ten dziwny sposób. Ale nie. Po pierwsze, wydawało mi się, że nie dam rady – że to nie ten wiek i nie te zdolności. Może chodziło o tak zwaną skromność, a może o strach. Po drugie, zawsze uważałem, że rasowy aktor musi doskonale posługiwać się językiem, w którym gra. Jak ja mówię „lipa”, to wiem, że dobrze powiedziałem, a jak mówię „linden”, to nie jestem pewien. Nic nie wymyślałem w tej chwili, dystans do języka naprawdę był dla mnie hamulcem. Oczywiście, można się nauczyć angielskiego na kursie, pojechać, a potem...

...do końca życia być obsadzonym w rolach imigrantów z Europy Wschodniej.

Tak. Ma pani rację. Choć są aktorzy, którzy świetnie dają sobie radę w obcym języku.

Nie żałuje Pan? Że taki talent się zmarnował?

Niech oni żałują! (śmiech) Nie mam nieprzespanych nocy, nie miotam się w łóżku myśląc: „Cholera, mogłem być światową gwiazdą, a się nie udało”.

Mam jeszcze pytanie o życie osobiste, ale zwlekam z zadawaniem, bo Pan chyba nie lubi o tym opowiadać.

Jak człowiek ma za sobą tyle żyć, to chociaż niech to jedno zostanie w spokoju. Ale proszę pytać.

To prawda, że żenił się Pan cztery razy?

Tak. Ale za to od trzydziestu lat...

... jest Pan szczęśliwym mężem Elżbiety. Jak ze szkołą: do czterech razy sztuka.

Miałem prawie pięćdziesiątkę, to wiedziałem, co robię.

Późne zakochanie czymś się różni od młodszyńskiego?

Emocje te same, ale większy spokój. Każde z nas jest po jakichś doświadczeniach, nie musimy sobie mówić niepotrzebnych rzeczy. Taki wyższy poziom miłości. Do beczki słodczy dodaje się łyżkę rozsądku.

I to jest bardzo dobre.

©P Rozmawiała KALINA BŁAŻEJOWSKA